WARSZAWA KRAKÓW LWÓW POZNAŃ

BLUSZCZ

№ 12. ROK WYDAWNICTWA LIII. Dnia 23 Marca 1918 r.

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie: Mk. 2.15, kwartalnie: Mk. 6.25, półrocznie: Mk. 12.50, rocznie: Mk. 25.

CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelowy lub jego miejsce „za tekstem": Mk. 1.50; ogłoszenia zwycz. 65 f. „Nadesłane“ Mk. 2.50, margines Mk. 18. Kolumna Mk. 360. Załączniki Mk. 40 za tysiąc.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO . . . Fen. 65.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM

Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ

Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.

Drobnych rękopisów nie zwraca się. — Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

Prenumerata na prowincyi, w Austryi, Galicyi, w Rzeszy Niemieckiej i W. Ks. Poznańskiem:
Rocznie: Mk. 30, półrocznie: Mk. 15, kwartalnie Mk. 7.50.

W Lublinie „Bluszcz" w biurze dzienników „REKORD" — Kapucyńska 2.

W Krakowie u W-go D. E. Friedleina—Rynek 17.

We Lwowie — w biurze dzienników W-go Henryka Buchsteba — ul. Karola Ludwika 21.

DO SZ. PRENUMERATORÓW „BLUSZCZU".

Aby uniknąć zwłoki w dostarczaniu pisma prosimy o wczesne nadsyłanie prenumeraty na II kwartał.

Wszyscy Sz. prenumeratorzy „Nowej Reformy“ i „Il. Kuryera Codziennego“ zechcą w ciągu marca nadesłać prenumeratę do „Zastępstwa Bluszczu, Kraków, Retoryka 1“. We wszystkich sprawach, odnoszących się do nabywania książek, form, wzorów etc. Prenumeratorzy przez „Kuryer Codzienny“ zechcą się zwracać wprost do Redakcyi „Bluszczu“, Warszawa, N.-Świat 41.

Telepatya, instynkt i mistycyzm

ze stanowiska wiedzy.

(CIĄG DALSZY).

Postępowanie instynktowe ma, gdy je obserwujemy "z zewnątrz“ wszystkie cechy charakteryzujące czynność „rozumną“, t. j. opartą na wiedzy. Istnieje jednak cały szereg czynności instynktowych, gdzie wiedza, jaką należałoby przyjąć dla wytłumaczenia zjawiska, przekracza wszelkie prawdopodobieństwo. Tak np. gdy owady z rodziny gąsieniczników, *(Ichneumonidae)* zakłuwają żądłem trującem swoje nerwowe gąsienic, w których mają złożyć swe jaja, a czynią to w ten sposób, aby gąsienica została tylko sparaliżowana, lecz nie zabita (aby wylęgłe z jaj larwy miały świeże pożywienie zamiast trupa), czynność taka, gdyby była rozumną, wymagałaby tyle przewidzenia oraz wiedzy anatomicznej, fizyologicznej i toksykologicznej, ile w żaden sposób owadowi temu przypisać nie możemy.

Jakże przedstawia się instynkt „od wewnątrz“, t. j. ze strony świadomości organizmu zwierzęcia?

Nie w postaci „wiedzy“, lecz *bezpośredniej pobudki do czynu.* Gąsienicznik czuje popęd do zakłucia gąsienicy w chwili, gdy ma znosić jaja, a popęd ten kieruje jego żądło we właściwe miejsca skóry dostrzeżonej gąsienicy i odpowiednio reguluje siłę ukłucia, każe mu następnie wciągnąć z wielką pracą sparaliżowaną gąsienicę do swej nory, chociaż owad ten nie ma pojęcia o tem jakie organa i jak funkcyonujące ukrywają się pod temi miejscami skóry, ani też nie „wie“, że wylęgłe z jaj larwy będą pożerały ciało gąsienicy.

Środkami, któremi się posługuje przyroda dla kierowania temi czynnościami o celu niedostępnym dla rozumu zwierzęcia są *rozkosz* i *cierpienie*, i zwierzę cierpi, dopóki nie spełni jej nakazu; doznaje rozkoszy spełniając go. Ostateczną więc formą wewnętrzną instynktu w świadomości zwierzęcia jest *uczucie* nie zaś wiedza. Nazwa „przeczucie“ i tu jeszcze najlepiej oddaje istotę rzeczy. Każde „przeczucie“ prawdziwe (bo, jak i w halucynacyach, jest cały szereg „przeczuć“, które są tylke urojeniami, t. j. "zachciankami“, nie mającemi nic wspólnego z rzeczywistemi stosunkami *) jest w rzeczywistości instynktem.

Pociąga to za sobą dalsze rozszerzenie pojęcia telepatyi; rozszerzenie, które już w starożytności było uczynione i niejednokrotnie powtarzane, a w najnowszym czasie w związku z współczesnemi poglądami naukowymi przez Bergsona. Jeżeli możliwem jest obcowanie umysłowe z rzeczywistością niezależnie od zmysłów i związanego z niemi rozumu, czy nie jest możliwem, że obcowanie tego rodzaju w doskonalszym stopniu zbliża nas do rzeczywistości, niż to czyni wiedza? Czy nie prowadzi ono do *prawdy*, którą daremnie usiłujemy pochwycić przy pómocy kategoryj logicznych?

Taką hypotezę stawiano w dziejach, ilekroć sceptycyzm lub krytycyzm zachwiewał wiarę w pewność odpowiedzi naukowej — od neoplatonizmu do chwili bieżącej. Przypuszczenie, że można wznieść się do prawdy na skrzydłach uczucia na-

---

*) Prawdziwe przeczucie może raczej występuje nie w formie zachcianki, lecz roztargnienia lub wstrętu. Sokrates mówi o swym „dajmonie“ jako władzy wzbraniającej, nigdy nakazującej (głos sumienia). Autor często obserwował na sobie takie zjawiska: Idąc do kogoś, kogo chciał odwiedzić omijał przez nieuwagę bramę domu do którego zmierzał; wracając dowiadywał się, że osoby, której szukał nie było w domu. Niekiedy jednak instynktowe ostrzeżenie przeciw bezowocnemu trudzeniu się ujawniało się w formie nieprzezwyciężonej niechęci do udania się w miejce wyznaczone na posiedzenia lub inne spotkanie, które w istocie nie przychodziło do skutku Oczywiście jednak i jedno i drugie mogło się zdarzyć—i zdarzało niezależnie od owej niechęci lub ominięcia bramy. Dla tego też nie można nigdy polegać bezwzględnie na instynktowem przeczuciu.

zywa się *mistycyzmem*. Szlachetniejszą jego formę reprezentuje neo-platonizm, wymagający, aby lot ów w krainy entuzyazmu zaczynał się nie wcześniej, jak po przebyciu wszystkich szczebli poznania naukowego. Mistycyzm surowszy, zwrócony ku ciemnym tłumom przeciwstawia całkowicie uczuciową drogę myślowej, odrzucając zgoła wiedzę a przeciwstawiając jej wiarę, jako jedyne źródło prawdy.

Według Bergsona rozum i instynkt są to dwie odmienne drogi, któremi poszła ewolucya umysłowości w przyrodzie. Pierwsza znalazła swe urzeczywistnienie głównie w człowieku; drugi w klasie owadów. Różnica rozumu, a instynktu polega na tem, że pierwszy jest środkiem tworzenia *narzędzi;* drugi—*umiejętnością posługiwania się narządami* (organami) wytworzonemi przez przyrodę. Pierwszy ma do czynienia przeważnie z naturą martwą; drugi wnika w samą istotę życia. W instynkcie więc jest wrodzonem to, co dotyczy samych *rzeczy;* w rozumie tylko *stosunków* między rzeczami; pierwszy ma za przedmiot *materyę*, drugi *formę*. Rozum więc, jako władza czysto formalna, nie może pochwycić tego, czego szuka (t. j. prawdy o istocie rzeczy); instynkt mógłby ją znaleźć, lecz jej nie szuka.

Takie są faktyczne stosunki, pokrewieństwa i uogólnienienia w zakresie naszego przedmiotu. Teraz sprobujemy wykazać jakie światło nań rzucają współczesne teorye naukowe i poglądy filozowiczne.

II.

W szechuduchowienie jako klucz do telepatyi.

Zagadkowość zjawisk telepatycznych spoczywa na tem, co możnaby nazwać „indywidualizmem w teoryi poznania“; t. j. na tym poglądzie naturalistycznie - naiwnym, według którego każdy osobnik ludzki jest odrębnym, odciętym od innych a zamkniętym w sobie światem duchowym. To, co „wchodzi“ przez zmysły do jego świadomości, jest *jego* ujęciem; *jego* wyobrażeniem, gdy je odtwarza; a jedno i drugie jest tylko kopią również odrębnych i zamkniętych w sobie osobników, czy to osobowych (t. j. mających własne światy duchowe), czy rzeczowych.

Nie dziwi nas wcale, że świadomość nasza bywa stale poinformowaną o stanie każdej części *naszego* ciała, jakkolwiek odległej od mózgu. Stany głodu, pragnienia, duszności lub bólu, ucisku, niepokoju w poszczególnych organach dają nam natychmiast znać o brakach lub potrzebach bądź ogólnych, bądź lokalnych naszego organizmu.

— Nic dziwnego, odpowie obeznany z fizyologią czytelnik; wszystkie części ciała połączone są zapomocą włókien nerwowych, jakby drutów telegraficznych, z korą mózgową, która jest siedliskiem świadomości.

A gdybyśmy byli połączeni takimiż drutami telegraficznymi z innymi osobnikami, osobowymi lub rzeczowymi, czy nie usunęłoby to zagadkowości odczuwania przez nas tego, co się dzieje w innych ludziach lub rzeczach?

Niezawodnie, lecz trzebaby pokazać te druty. A gdybyśmy je wykryli, czy nie zniosłoby to przepaści między osobnikiem a osobnikiem, między poszczególnemi rzeczami, jako odrębnymi światami?

Niema wątpliwości, że oblicze świata uległoby wówczas zmianie: zamiast mnogości oddzielnych rzeczy, przedstawiłby się nam jako jedna zwięzła całość, tak jak jedną całość tworzy klucz posyłający depeszę z Europy z aparatem przyjmującym ją w Ameryce, skoro połączone są drutem leżącym na dnie oceanu. Cóżbyśmy jednak powiedzieli w wypadku telegrafu bardziej współczesnego: wszakże mamy telegraf bez drutu? Czy zmienia się postać rzeczy przez to, że oko nasze nie widzi materyalnego połączenia między odsyłaczem depeszy iskrowej na środku oceanu a aparatem przyjmującym ją na lądzie? Czy nie mamy równego prawa uważania obu tych przyrządów, jako tworzących razem jedną całość?

Takie połączenia istnieją w rzeczywistości między wszystkiemi poszczególnemi rzeczami. Każda planeta ulega przyciąganiu słońca i przyciąga je wzajemnie. Najodleglejsze gwiazdy wywierają wpływy swe na nasze słońca i otaczające je planety, bądź przez pośrednictwo ciążenia, bądź przez fale świetlne i elektryczne. Gdy następują wybuchy wodoru w atmosferze ognistej słońca, wszystkie igły magnesowe na ziemi wykazują zaniepokojenie, a na biegunach ukazują się wspaniałe zorze... Każdy z nas niewidzialnym promieniem wzrokowym oka swego dotyka niejako najodleglejszych gwiazd i mgławic rozrzuconych w nieskończonej przestrzeni. Kant sformułował ten pewnik podstawowy wiedzy dzisiejszej w założeniu, że *wszystkie substancye świata zostają we wzajemnem oddziaływaniu.*

Wszystkie rzeczy działają na wszystkie inne i wszystkie ulegają działaniu innych; tylko nie wszystkie mogą ujawnić swe oddziaływanie, jak ujawnia przyrząd piszący telegrafu. Jakież to zdumiewające widowisko nawet dla człowieka rozumiejącego teoryę telegrafu, gdy nagle, bez żadnego widzialnego powodu, zaczyna działać elektromagnes aparatu a ołówek jego wypisuje zagadkowe znaki na wstążce papierowej! Tam właśnie, gdzie widoczną staje się czynna reakcya na odziaływanie, a gdzie niema widocznego związku, zjawisko uderza nas swą zagadkowością.

Widzieliśmy jednak, że od strony odczuwania tworzymy jedną całość z wszechświatem: mogę powiedzieć, że najodleglejsze gwiazdy są częścią mojej osoby, lub moja osoba ich częścią. Granicę tego, co nazywam *sobą,* zakreśla dopiero możność czynnej reakcyi: granica panowania mojej woli. Moja „osoba“ kończy się tam dokąd sięgają nerwy ruchu; nerwy posyłające mięśniom rozkazy woli. Rozum jest narzędziem czynu. Przy pomocy rozumu zakreślamy więc granice naszej osoby tam, gdzie kończy się dla niej możność ruchu; możność dostrzegalnej dla innych reakcyi na oddziaływanie innych składników świata, tworzących, jak widzieliśmy, jedną całą z moją osobą.

Rozdział więc świata na odrębne rzeczy jest tylko wynikiem wyłącznie „aktywistycznego“ stanowiska rozumu. Konkluzye, wynikające z podstawowych założeń wiedzy nieprzychylne są krańcowemu *pluralizmowi,* t. j. myśli o odrębności rzeczy świata.

Lecz to jeszcze nie rozwiązuje całego zagadnienia. Jak możemy współczuć z tem, co samo jest nieczułe? Aby odpowiedzieć na to pytanie, powinniśmy spojrzeć na zjawisko wzajemnego oddziaływania *z wewnątrz,* t. j. tak, jak ono się przedstawia samej rzeczy działającej lub ulegającej działaniu, nie tylko widzowi zewnętrznemu.

To, co czuje magnes wtedy, kiedy przyciąga igłę i co czuje igła, lecąc ku magnesowi, wyjaśniłoby nam dopiero zjawiska telepatyi i instynktu w terminach nam blizkich, w terminach odczucia wewnętrznego. Czy można jednak stawiać takie pytania? Czy mamy prawo przypisywać czucie istotom nieżywym?

W. M. Kozłowski.

(D. n.).

Nowe pole pracy dla kobiet.

II.

Wracając do naszych stosunków, jakże się smutno przedstawia nasz dorobek pod tym względem. Praca praktycznego wychowania kobiet posuwa się żółwim krokiem, jakgdybyśmy należeli do tych szczęśliwców, którzy opływając we wszystkie bogactwa nie potrzebują się troszczyć o dzień jutrzejszy. Niestety tak nie jest, my może więcej, niż inne narody musimy się krzątać około zabezpieczenia sobie dnia dzisiejszego i przygotowania jutra. Czy uda się nam uczynić to bez pomocy kobiety, światłej obywatelki, dobrej gospodyni?—Wystarczy popatrzeć na to, co się dzieje po naszych wioskach; kto tamuje postęp, kto broni należenia mężom i synom do Kółek Rolniczych, Spółek i Towarzystw oświatowych lub ekonomicznych? Kto przez nieumiejętność trwoni grosz mężowski ciężko zapracowany, kto oddaje zarząd domu, wychowanie dziatwy w ręce służby lub płatnych najmitów? Kto częstokroć trwoni czas bezmyślnie, czas, któryby z pożytkiem dla swoich, a tem samem dla kraju użyć mógł? Czy to nie kobieta wszelkich sfer?

Organizujemy się pod względem państwowym, w ręce nasze, po tylu latach, wraca władza samorządzenia sobą. Kochamy to „Jutro“ nasze; radzibyśmy je widzieć jasnem i promiennem. Da Bóg, że się takim stanie, jeżeli nie zapomnimy o wychowaniu kobiety. Dosyć już mroków, dość ciemności, czas by kobieta zajęła sobie właściwe miejsce przy domowem ognisku.

Słyszy się ciągle narzekanie na brak ludzi, ludzi rodzi się dosyć, ale brak im

często cnót wychowaniem zdobytych. Któż lepiej od matki wychowawczyni zdoła wpoić w dziecko zasady uczciwe, kto zechce czuwać nad urobieniem jego charakteru? Ale na to, by matka mogła temu zadaniu podołać, potrzeba aby tę umiejętność posiadała. U nas tymczasem dziwne pod tym względem panuje przekonanie, twierdzimy, że zbytecznem jest kobiecie uczyć się, być dobrą matką, żoną i gospodynią, bo wszystkie te umiejętności każda panna przez sam fakt zamążpójścia zdobyć potrafi. Liczne przykłady przekonywują jednak, jak mylnem jest takie twierdzenie i jak często jest ono powodem bolesnego zawodu i łez. Wiele kobiet, zniechęcając się napotykanemi na każdym kroku trudnościami, a nie umiejąc sobie z niemi poradzić, stroni od swych obowiązków domowych, pozostawiając je ludziom obcym, a szukając zadowolenia w pracy poza domem.

Każdy dobrze rozumie, że nic się nie zdobywa bez pracy i nauki; rzemieślnik nawet kunsztu swego całe lata uczyć się musi, czyżby jedynie sztuka rządzenia domem i wychowania dzieci była tak łatwą i przystępną dla wszystkich, że bez przygotowania posiąśćby się dała? Z drugiej strony, ileż to rzeczy przez nieumiejętność pani domu u nas się marnuje, a ile jest niewyzyskanych? Zestawienie cyfrowe strat takich wykazałoby sumy nie do uwierzenia. Czyli innemi słowy rządna gospodyni niemałoby się przyczyniła do podniesienia ogólnego dobrobytu w kraju naszym.

Z tego, co się wyżej powiedziało wynika, że chcąc by u nas dobrze się działo, trzeba zwrócić szczególną uwagę, na praktyczne wychowanie kobiety Polki. By zaś temu podołać potrzeba zachęcać młodzież do nauki praktycznej, zaprawiając ją już od zarania życia do brania udziału w zajęciach domowych, przyświecając jej w tej pracy własnym przykładem; dalej trzeba się starać o zakładanie większej ilości i bardziej odpowiednich szkół gospodarskich i zawodowych, któreby kobietę przygotowały do zadania, jakie ją w życiu czeka. Do zakładania szkół bierzemy się dosyć chętnie, ale nasze zamiary rozbijają się częstokroć o brak ludzi odpowiednio przygotowanych. Największe wysiłki i sumy pieniężne nic tu nie pomagają, praca stoi na miejscu, bo brak osób, któreby ją ujęły i zdołały podnieść na wyżyny jej należne. Taki stan rzeczy zgubnym jest dla kraju, należy go jaknajprędzej zmienić przez powołanie do życia specyalnej uczelni dla nauczycielek szkół gospodarskich i zawodowych. Trzeba się zdobyć na ofiarność w celu dostarczenia potrzebnych funduszów, nie wolno spocząć dopóki nie przygotujemy takich przodowniczek młodzieży, którym z całym spokojem i zaufaniem oddamy wychowanie młodzieży polskiej.

Do wstępowania do takiej, mającej niebawem powstać uczelni, zachęcać trzeba osoby pierwszorzędnej wartości, idei i nauki. Nauczycielka szkoły gospodarskiej ma przed sobą wielkie zadanie. Jej to na równi jak matce wychowawczyni, danem jest przy zajęciach ręcznych kształcić umysł i uszlachetniać duszę wychowanek.

Widząc ile pracy leży odłogiem, pragnie się zawołać słowami pisma świętego: „Żniwa wprawdzie wielkie, ale robotnika mało, proście tedy pana żniwa, aby przysłał robotniki na żniwo swoje".

T. Leszczyńska.

Co trzeba umieć... co trzeba wiedzieć...

Jakże często młode, pełne zapału dziewczęta pytają, co trzeba umieć, aby rozpocząć pracę na wsi.

Odpowiadam tak:

Trzeba znać lud i jego potrzeby, trzeba być demokratką szczerą a nie książkową chłopomanką. Trzeba chcieć i umieć uczyć się od życia i ludu.

To na początek, a potem trzeba dużo rzeczy wiedzieć, o których zwykle przeciętna panna wiejska z dobrego domu nie wie.

Skąd takich wiadomości poczerpnąć? Można je zdobyć w ciągu paru miesięcy przez czytanie książek poważniejszych i zupełnie poważnych. Tytuły tych książek są np.:

Ochorowicz: Pierwiastki charakteru narodowego.

Szczepanowski: Polskie tradycye w wychowaniu.

Smoleński: Szlachta w świetle własnych opinii.

Wojciech Sokołowski: Spostrzeżenia nad stanem i kulturą naszego ludu.

Jerzy Orwicz: Sobotnia góra.

Jan Mazur: Legenda polska.

Te książki pozwolą czytelniczce poznać psychikę narodową i ludową polską.

Nie można pracować wśród ludu, nie znając dziejów Polski i historyi włościan.

W tym celu trzeba przestudyować Dzieje Polski niepodległej i Dzieje Polski porozbiorowej I. Grabca.

Następnie Kutrzeby: Historyę ustroju Polski niepodległej.

Kutrzeby: Historyę ustroju Polski porozbiorowej.

Kutrzeby: Charakterystykę państwowości polskiej.

Baranowskiego: Zarys dziejów wsi polskiej.

Handelsmana: Żywot chłopa polskiego.

Staszica: Przestrogi dla Polski.

Frycz Modrzewskiego: O naprawie Rzeczypospolitej.

Limanowskiego: Rozwój przekonań demokratycznych w narodzie polskim.

Baranowskiego: Uniwersał Połaniecki Kościuszki.

Chcąc wychować siebie na ludowego działacza, trzeba przeczytać i przemyśleć:

Szczepanowskiego: Ideę polską.

Orszy: Pracę oświatową, jej metody i organizacyę.

Limanowskiego: Szermierze wolności.

Zabojeckiej: Powieść o duszy polskiej.

Dr. Kosmowskiej: Entuzyastki.

Ponadto trzeba poznać stosunki gospodarcze polskie.

W tym celu radziłabym przeczytać Daszyńskiej-Golińskiej: Rozwój i samodzielność gospodarcza ziem polskich.

Bojarskiej: Nasz dorobek kulturalny.

Ludkiewicza: Jak doprowadzić rolnika naszego do dobrobytu.

Maryi Moczydłowskiej: Wieś Lisków.

Ks. Załuskiego: Wieś Retkinia.

Malinowskiego: Rolnictwo włościańskie zagranicą:

Stefana Jankowskiego: Jak gospodarują członkowie Kółek rolniczych.

Bujaka: Myśli o odbudowie.

Dr. Kosmowskiej: Domy ludowe.

Przeczytanie tych książek dostarczy każdej myślącej dziewczynie polskiej, średnio wykształconej tyle materyału poważnego, że pod wpływem tych rozmyślań wejdzie ona na ścieżkę właściwą, na drogę pracy społecznej obywatelskim duchem przenikniętej dla tych, których budzić, uspołeczniać i do pełnienia obywatelskich obowiązków wciągać jest najpilniejszym obowiązkiem narodowym.

St. Bojarska.

KRONIKA MUZYCZNA.

Opery: „Afrykanka", Romeo i Julia" „Manon".

Do repertuaru Teatru Wielkiego przybyły po Nowym Roku dwie opery: „Afrykanka" Meyerbeera i „Romeo i Julia" Gounoda; są to prawie rówiennice, — obie niemłode, bo z górą półwieczne, — obie wznowione po dłuższym spoczynku, zwłaszcza „Afrykanka", niegrana u nas przynajmniej od lat kilkunastu.

Któżby się spodziewał, że wznowienie „Afrykanki" spotka się z tak nadzwyczajnem powodzeniem? Przecież już przed 30-tu laty wydawało się, że czas Meyerbeera przeszedł bezpowrotnie, że opery jego muszą na zawsze zejść ze sceny.

Nazwisko Meyerbeera łączy się w historyi muzyki z tym typem dramatu muzycznego, który powstał w Paryżu około roku 1830 pod nazwą „wielkiej opery". Trzy słynne dzieła dokonały wówczas przewrotu w repertuarze operowym i wytworzyły nowy styl: „Niema z Portici" Aubera (1828), „Wilhelm Tell" Rossiniego (1829) i „Robert Dyabeł" Meyerbeera (1831). Meyerbeer nie był tedy wynalazcą „wielkiej opery", on jednak doprowadził ten „rodzaj" do szczytu rozwoju i stał się głównym jego przedstawicielem.

„Wielka opera" miała połączyć w sobie to wszystko, co w operach włochów, francuzów i niemców okazało się „najskuteczniejszem" w działaniu na publiczność: a więc włoskie wirtuozowstwo śpiewacze *(bel canto)*, zmodyfikowane podług francuskiego smaku,—siłę wyrazu dramatycznego, którą Gluck tak wspaniale rozwinął w operze francuskiej, — i wreszcie romantyzm oraz bogactwo symfoniczne orkiestry, które Weber wprowadził do swych oper niemieckich.

Wynikło z tego, co prawda, nie tyle *połączenie*, ile *pomieszanie* różnych stylów i kierunków, — co zapewne wówczas już

raziło subtelniejszych muzyków, ale nie szeroką publiczność, o którą przecież głównie chodziło. Dla tej „szerokiej publiczności“ uczyniono wszystkie możliwe koncesye, zgromadzono wszelkiego rodzaju atrakcye.

Przedewszystkiem więc opera musiała imponować olbrzymiemi proporcyami, olbrzymim „aparatem“ t. j. ilością współdziałających sił, oraz przepychem wystawy. Treść musiała być jaknajbardziej skomplikowana, o ile możności oparta o tło historyczne, pełna krzyżujących się nawzajem konfliktów politycznych, religijnych, familijnych i erotycznych, pełna najjaskrawszych kontrastów i sensacyjnych momentów. Akcya musiała dawać okazyę do „wielkich scen“ zbiorowych, pochodów tryumfalnych lub procesyi, w których występowały całe armie chórzystów, statystów, baletnic i muzykantów. Do tego wszystkiego muzyka jaknajgłośniejsza: wielka orkiestra w sali, orkiestra na scenie, orkiestra za sceną, dużo *blachy*, dużo hałasu; jaknajwięcej efektów świetlnych, bogatych kostiumów, wspaniałych dekoracyi, zadziwiających maszyneryi, — słowem wyzyskanie wszystkich środków, jakiemi rozporządza muzyka, dramat, balet, pantomina i technika urządzeń teatralnych, aby olśnić oczy i uszy publiczności. I publiczność była olśniona, zachwycona, porwana; widziano w „wielkiej operze“ ostatnie słowo — nietylko muzyki, ale sztuki wogóle.—Meyerbeer był mistrzem w kombinowaniu najbardziej wyrafinowanych efektów instrumentalnych i wokalnych; a librecistą, jakby stworzonym dla niego, był Scribe, najsławniejszy wówczas fabrykant tekstów operowych. Jednemu i drugiemu nie chodziło o żaden ideał artystyczny, o szczerość wyrazu, o prawdę, logikę, konsekwencyę w akcyi lub w muzyce; jedynym ich ideałem był efekt teatralny, jedynym celem—powodzenie. I trzeba przyznać, że powodzenie towarzyszyło im niezmiennie, począwszy od owego „Roberta Dyabła“, który stał się fundamentem ich wielkości. Dosyć rzadko ukazywały się nowe opery Meyerbeera, ale wystawienie każdej uważane było za fakt niezmiernej doniosłości, za epokowe zdarzenie w dziejach sztuki; każda premiera była wielkim tryumfem uwielbianego kompozytora. W roku 1836 ukazali się „Hugonoci“, w 1849 „Prorok“, w 1854 „Gwiazda północy“, w 1858 „Dinora“ i wreszcie w 1865 „Afrykanka“; wystawienia tej ostatniej Meyerbeer nie doczekał, zmarł bowiem podczas piewszych przygotowań do prób w roku 1864.

Dla subtelnie czującego muzyka są w operach Meyerbeera takie „niegodziwości“, których mu wybaczyć nie można; a potęga się go tem mocniej, im więcej się widzi, jak wielki talent i jaką wiedzę muzyczną posiadał.

Najlepszą bezwarunkowo operą Meyerbeera są „Hugonoci“; nie brak i tu „sztuczek“ wirtuozowskich, wyszukanych kontrastów i powierzchownych efektów; ale jest też ogromne bogactwo inwencyi, jest mnóstwo epizodów oryginalnie pomyślanych, subtelnie opracowanych, a nawet wprost pięknych muzycznie, choćby nawet fałszywych dramatycznie; taki zaś duet Raula z Walentyną, w którym ekspresya dramatyczna łączy się przedziwnie z natchnieniem myzycznem, można śmiało zaliczyć do najgenialniejszych kompozycyi w muzyce operowej wszystkich czasów.

„Afrykanka“ nie dorównywa „Hugonotom“ pod żadnym względem, pomimo wielu aż nazbyt rażących analogii. Natchnienie muzyczne spada tutaj do *minimum*, za to akcya dramatyczna przewyższa pod względem złego smaku i niedorzeczności wszystko, co Scribe w tym kierunku „popełnił“. Ten Vasco de Gama, tak bohaterski w I-ym akcie wobec prześladującej go inkwizycyi, staje się w następnych aktach niemal śmieszną figurą, jako kochanek „białej“ Inezy i „ciemnej“ Seliki, którym naprzemian wieczną miłość ślubuje. Kapitalni są ci wyspiarze afrykańscy, rozsprawiający tak biegle po portugalsku, a bodaj szczytem wszystkiego jest scena, w której „afrykanka“ pokazuje nieznaną europejczykom drogę do Indyi... ...na mapie. Sens opery jest na naszej scenie tem mniej zrozumiały, że wykreślono całą 1-szą odsłonę 5-ego aktu, w której najważniejsza część akcyi się rozgrywa. Ze względów muzycznych nie mamy kapelmistrzowi za złe licznych wykreśleń w tej operze, skracających przynajmniej o godzinę przedstawienie, i tak ogromnie długie.

A jednak dzisiejsze pokolenie nie ma prawa być zbyt surowem w sądzie o Meyerbeerze, nie wydało bowiem ani jednego kompozytora, tworzącego opery, zdolne do życia. Puccini należy już do „wczorajszych“, ma bowiem 60 lat, i jest jedynym żyjącym kompozytorem, którego opery zdobyły trwałe powodzenie na arenie wszechświatowej. Czyż tedy można dziwić się dyrekcyom teatrów, że wolą odgrzewać stare opery, choćby Meyerbeera, niż wystawiać nowe, niewdzięczne dla wykonawców, nietrafiające do przekonania publiczności i skazane na wczesną śmierć.

Swoją drogą można zanotować, jako niezwykłe w kronikach opery zdarzenie, że właśnie „Afrykanka“ grana była w ciągu 33 dni (od 4 lutego do 8 marca) 12 razy przy zapełnionej sali; trzeba wszakże zaznaczyć przytem, że głównym sprawcą tego powodzenia jest p. Gruszczyński, który posiada nietylko fenomenalny głos, ale i przepyszną postać do ról bohaterskich, a w dodatku talent aktorski, uczucie i temperament,—co wszystko razem w magiczny sposób działa na publiczność. Vasco de Gama jest jakby stworzoną dla niego rolą; samem wejściem na scenę w 1-ym akcie robi wrażenie, zanim jeszcze usta otworzy; partya widocznie „leży mu w głosie“, bo śpiewa ją od początku do końca tak pięknie, jakby był już skończonym, pierwszorzędnym śpiewakiem. Nie piszę w tem miejscu krytyki, więc wymienię tylko, że Selikę śpiewa p. Korolewicz-Waydowa, Neluska—p. Narożny a główne partye basowe pp. Ostrowski i Munclingr-Adam.

Jak „Afrykanki“ z „Hugonotami“, tak „Romea i Julii“ nie można stawiać na równi z „Faustem“. Nic równego „Faustowi“ nie skomponował Gounod przedtem ani potem; ta jedna opera zdobyła mu nieśmiertelność i jest to rzeczywiście jedna z najpiękniejszych oper XIX wieku.

Dziwnie nierówną była karyera artystyczna Gounoda (ur. 1818, zm. 1893). Mając lat 21 otrzymał w konserwatoryum paryskiem pierwszą nagrodę kompozytorską *(grand prix de Rome)* i jako stypendysta rządu francuskiego udał na dalsze studya do Rzymu. Całą swą młodość poświęcił wyłącznie muzyce religijnej, został organistą przy kościele Misyi Zagranicznych w Paryżu i podobno miał zamiar przywdziać sam sukienkę zakonną. Aczkolwiek już w roku 1843 wykonano w Wiedniu jego mszę wokalną i *Requiem*, nazwisko jego pozostało nieznanem szerszemu ogółowi. Któż bowiem wówczas interesował się muzyką kościelną? Była to epoka, w której Opera dominowała nad całą twórczością muzyczną. Więc i Gounod zaczął pisać opery; ale jego „Sapho“, wystawiona w roku 1851 nie doznała powodzenia; ten sam los spotkał parę oper następnych. Aż nagle w 1859 r. ukazał się „Faust“ i Gounod stał się jednym z najgłośniejszych kompozytorów w świecie. Ale następnie szczęście znów się od niego odwróciło. Opery „Filemon i Baucis“, Królowa Saba“ a nawet pełna wdzięku „Mireille“ nie utrzymały się długo na scenie i nie wyszły po za granice Francyi. Raz jeszcze tylko Gounod odniósł sukces sceniczny, mianowicie wystawioną w roku 1867 operą „Romeo i Julia“, która w krótkim czasie obiegła tryumfalnie wszystkie sceny europejskie i którą nawet ponad „Fausta“ wynoszono. Była to stanowczo pomyłka. Rzecz prosta, że dla kompozytora, który w „Fauście“ stał się tak niezrównanym wyrazicielem „miłości“ w muzyce, historya „Romea i Julii“ była tematem, jakby wymarzonym. Nie ulega kwestyi, że z 12-tu kompozytorów, którzy tego tematu do swych oper użyli, Gounod stworzył rzecz najlepszą. Wszystkie cztery duety miłosne w tej operze mają muzykę bardzo poetyczną i subtelną, która dziś jeszcze, po 50-ciu latach bardzo sympatyczne robi wrażenie. A jednak oddałbym całą tę operę za każdą niemal odsłonę „Fausta“ (z wyjątkiem „Nocy Walpurgii“, którą byłoby najlepiej zupełnie wyrzucić). Tego bogactwa oryginalnych melodyi, tej szczerości i głębi uczucia, tej prawdy wyrazu dramatycznego i świetnej charakterystyki muzycznej osób, co w „Fauście“, napróżnobyśmy w młodszej operze Gounoda szukali; dosyć banalnego walca Julii nie można nawet porównać z czarującą „aryą z brylantami“. Małgorzaty a chór gości Kapuleta, rozpoczynający 1-szy akt brzmi prawie trywialnie, zwłaszcza po ładnym, nastrojowym prologu. Najpiękniejsze miejsca są w scenie ogrodowej, w scenie pożegnania kochanków i w grobowcu,— i tu jednak przeszkadza trochę zbyt wyraźne podobieństwo z muzyką „Fausta“. Gdyby nie było „Fausta“, muzyka „Romea“ robiłaby niewątpliwie większe wrażenie i zapewniłaby Gounodowi piękną kartę w historyi opery. Wznowienie „Romea i Julii“ (p. Dobosz i p. Mokrzycka) doznało powodzenia; od 18 stycznia do 20 lutego grano tę operę 7 razy.

Nie powiodło się natomiast wznowienie „Manon“ Masseneta; po 2-ch przedstawieniach (5-go i 7-go marca) opera ta zeszła z afisza. Jest w tem trochę winy dyrekcyi, która widocznie chciała tę operę wystawić jaknajmniejszym kosztem; skrócono znacznie pierwszy akt, kasując role 3-ch zalotnic (Poussette, Javotte i Rosette) i wykreślając zespoły, w których one biorą udział; opuszczono też całkowicie najefektowniejszy akt (*Promenade du Cours la reine*), który byłby może zdecydował o powodzeniu opery dzięki baletowi, pięknej dekoracyi i brawurowej aryi Manon. A szkoda, że się tak stało; p. Mokrzycka i p. Dobosz śpiewają tu równie pięknie, jak w „Romeo i Julii“, a sama opera należy do najlepszych, jakie się ukazały we Francyi od czasu wystawienia „Carmen“ Bizeta (1875).

Massenet (1842 — 1912) był epigonem-eklektykiem, wstępował kolejno w ślady Meyerbeera, Gounoda, Thomasa, przejmował się kolejno nowożytnemi kierunkami, ale miał także pewne rysy indywidualne, dużo wikwintnego — iście francuskiego — smaku i niemało snać inwencyi, skoro mu jej wystarczyło na dwadzieścia kilka oper, kilka baletów, kilka oratoryów i cały szereg dzieł orkiestrowych, kameralnych, pieśni i t. d. Prawie wszystkie opery Masseneta doznały powodzenia we Francyi, a niektóre zdołały utrzymać się przez czas dłuższy, nawet na scenach zagranicznych. U nas grano tylko „Manon“, skomponowaną w 1884 r. młodszego o kilka lat „Werthera“ i „Thais“ (z r. 1894).

Fr. Brzeziński.

Z PRZEŻYĆ WOJENNYCH.

(DOKOŃCZENIE).

Na drodze w kolumnie czwórkowej stoi gromada żołnierzy. Poprzez mgły, przenizane pierwszymi promieniami słońca, błyskają orzełki i lufy manlicherów. Opodal, na rozmokniętem, połyskującem wodą ściernisku — szereg wozów taborowych. Na jednym z nich, na stosie siodeł i pak z nabojami, okrytych zniszczonym dywanikiem — trzy niewiasty, dziwne i niespodziewane w swoich zwykłych, miejskich strojach na tle tego żołnierskiego światka.

Do wozu podjeżdża młodziutki oficer.

— Obywatelko Krystyno!

— Jestem!

Oficer wręcza jej maleńki zwitek papieru, drobno zapisany.

— Instrukcye dla Warszawy. Należy dobrze schować.

— Wiem, — odpowiada Krystyna.

Na drogę wypada na siwku oficer o ostrych rysach z porucznikowskim zygzakiem na kołnierzu.

— No czas, czas. Niewiasty gotowe?

— Tak jest, komendancie.

— Wozy jadą naprzód. Kompanja za nimi. No już! Cześć! — zasalutował odjeżdżającym.

Zaskrzypiały koła, zachlupotały końskie kopyta po rozmiękłej ziemi. Wozy ruszyły.

Gdy przejeżdżały koło którejś z chałup, we drzwiach pojawiła się wyniosła postać w siwym płaszczu. Orle oczy z pod nasuniętych brwi patrzyły na odchodzących.

— Patrz, Komendant! — szepnęła Krystyna, wiernemi oczami wpatrując się w postać Wodza.

Komendant podniósł oczy, spojrzał na pochylające się przed nim głowy i długim ukłonem zasalutował odjeżdżające.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Słońce zsuwało się już za linję borów. Czerwone refleksy kładły się na rozmiękłej drodze, polśniewały w bruzdach i kałużach. Drogą do Łęczycy, wśród pustych pól szły dwie młode dziewczyny, z trudem dźwigając ciężkie walizki i brnąc stopami, obutemi w cienkie miejskie trzewiki, przez kałuże lepkiego, gęstego błota. Dzień był cichy, bezwietrzny. Tem mocniej rozlegały się gdzieś daleko głuche ryki armat, czasem krótki klekot karabinów. Ku tym głosom złowrogim szły dziewczyny. Na drodze i na poblizkich polach była pustka; zrzadka rozrzucone chałupy miały drzwi i okna mocno zawarte, ciche były i jakby zamarłe.

Dziewczyny przystawały chwilami, stawiając walizki w rozchlapanem błocie i ocierały twarze. Po jakimś czasie, po kilkunastu minutach marszu, zarysowała się przed niemi długa linja płytkich rowów strzeleckich.

Rozdarta ziemia żółciła się świeżym piaskiem; na przedpiersiach leżał gęsty rząd karabinów. Z najbliższego rowu podniósł się żołnierz austryjacki.

— Halt!

Krótka rozmowa z komendantem odcinka—maleńka karteczka, pokazana przez dziewczyny — robi swoje. Przechodzą już linję okopów i idą dalej—przeprowadzają je zdziwione spojrzenia.

Jeszcze kilkaset kroków—i oto rozległ się w powietrzu charakterystyczny świst i warkot, potem huk: gdzieś, na poblizkiem, pustem polu uderzył granat, wyrywając w miękkiej ziemi głęboki lej i rozpryskując błoto dookoła.

Dziewczyny spojrzały na siebie i uśmiechnęły się do siebie pobladłemi zlekka ustami.

— To nic! — żartuje Krystyna. — To dopiero pierwszy...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Łęczyca. Puste, jak wymarłe miasto. Na ulicach ani jednego przechodnia. Głuchy bas armat dudni tu już mocno, zdecydowanie. Coraz to sypią się na dachy odłamki szrapnela, który „nie doniósł", coraz to słychać trzask rozbitej szyby, lub cienki, przenikliwy świst kuli. Miasto przypadło do ziemi w śmiertelnej grozie. Czasem jeno ktoś wyjrzy z bezgranicznem zdumieniem na dwie kobiece postacie, sunące ulicą, zgięte pod ciężarem waliz — i znów się ukryje. Nareszcie! Dziewczyny dopadły drzwi zajazdu i bezgranicznie znużone wcisnęły się do sieni. Wystraszeni gospodarze, po długich namysłach, zdecydowali się je przyjąć. Rozpoczęła się zwykła, przyjacielska indagacya, zlekka nieufna: a skąd, a dokąd, a poco? Dziewczyny odpowiadały przygotowanemi oddawna frazesami, a usta im paliło pytanie: gdzie strzelcy? czy jeszcze są tutaj?

Wreszcie Krystyna wśród rozmowy rzuca obojętnie:

— To Austryjacy już stąd wyszli?

— Już. Są tylko ci tam... Strzelcy czy Legjony. Oddział jakiegoś Nor... Nor... jakże go tam! — informuje gospodarz. — Ot, tu zaraz w drugim domu część ich stała. Jeszcze rzeczy nie zabrali. Ale w nocy odejdą...

Janka z całych sił ściska rękę Krystyny. W tym bataljonie służy jej narzeczony. Gdyby się choć przez chwilę z nim zobaczyć! Krysta zrozumiała jej niemą prośbę.

— Nie można, dziecko, — odpowiada szeptem,— nie można! Musimy być wobec ludności „czyste", a coby powiedzieli, gdyby zobaczyli nas rozmawiające z „chłopcami". Jutro tu będą Rosjanie. Nam trzeba do Warszawy.

Janka puszcza rękę Krystyny. Po twarzy jej płyną duże, kropliste łzy. Ociera je ręką i mówi cicho:

— Wiem, ale...

Milknie i odchodzi do okna.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Ranek. Ucichł warkot armat i suchy klekot karabinów. Miasto zaczyna się poruszać, wypełzać z piwnic i lochów.

Janka i Krystyna—już gotowe do drogi, wychodzą na rynek. Na ulicach pusto. Z okien ostrożnie wyglądają zmęczone bezsennością oczy. Żołnierzy nie widać. Nagle — po nierównym bruku głuchy stukot niepodkutych kopyt—i u wylotu ulicy pojawiają się na niewielkich, kosmatych koniach trzy sylwety w długich, brunatnych kapotach, w skręconych na ucho płaskich czapkach. W rękach tkwią nieruchomo piki. Ich ostrza, gładkie i błyszczące, w porannem słońcu lśnią, jak płomyki. Żołnierze stoją przez chwilę nieruchomo, rozglądając się po pustym niemal placu.

Wtem zwinnym, szybkim ruchem pochylają się aż na szyje końskie. Jeden przeciągły świst, jeden skok koński — i pod uderzeniem pik sypią się, jak wióry, szyby żydowskich sklepików.

H. Żurawska.

Z. MORAWSKA.

A drzewa szumiały...

Obrazek z r. 1863.

(DOKOŃCZENIE).

Chłopcy, przynaglani przez ojców, wsiedli na bryczkę, otuleni troskliwie, odjeżdżali ze wstydem i goryczą w sercu. Odjeżdżali, nie pożegnawszy się nawet z Borsukiem, który rzucił za nimi: *)

*) Obadwaj żyją dotąd. Odznaczyli się wysoce w literaturze naszej. Od nich słyszeliśmy o tej eskapadzie.

— Szczęść wam Boże!

Biedacy upojeni posłuchami o zwycięstwie, odniesionem przez powstańców w miasteczku, uciekli ze szkół. Sześć mil przeszli o kawałku chleba, spotkał ich zawód!

Uszli jednak niebezpieczeństwa. W godzinę bowiem potem zrobił się alarm. Straże doniosły o zbliżającem się wojsku moskiewskiem.

Borsuk w jednej chwili zwinął obóz.

— Wóz z bronią uwieźć w bezpieczne miejsce! — rozkazał.

Zdążono ukryć go w głębi lasu w przygotowanym na to dole, okryć chrustem i mchem.

Najdawniej przybyłych do powstania, więc najbardziej wyćwiczonych, postawił Borsuk na froncie. Donat i Bruzda nimi dowodzili. Pod ich rozkazami byli Stach narzeczony Jewki Werczakówny, i brat jej Walenty.

X. Madura nie miał broni. Jego bronią był krzyż, z którym się nie rozłączał, a trzymając go wzniesiony, zagrzewał i umacniał powstańców.

Mowa jego prosta, nagła, płynąca z serca, trafiała do serca tych, dla których była przeznaczona.

Powstańcy nie wysuwali się naprzód, nie atakowali wroga, jak to było w miasteczku; uszykowali się jeno w pozycyi obronnej,—czekali.

Czekali z tą determinacyą, jaka od pierwszej chwili wejścia do powstania zrodziła się w ich piersiach. Mieli ochotę nawet śpiewać. Cisza była nakazana.

Niejeden więc tylko się przeżegnał i szeptał: „Pod Twoją obronę„.

W piersiach kołatało mu serce nie lękiem, lecz pewną niecierpliwością stanowczej chwili.

Chwila ta nadeszła.

Poczęły się ukazywać przednie straże nieprzyjacielskie.

Chrzęst łamiących się gałęzi dowodził, że otaczano ich dokoła.

Świsnęły kule.

Powstańcy odpowiedzieli również strzałami.

Las rozbrzmiał odgłosem, jakiego dotąd nie słyszano.

Zaćmiło się przestworze dymem, wśród którego błyskały iskry.

Pogodne słońce, jakby zagniewane, skryło swoje oblicze.

Stare sosny i buki szumiały zdziwione.

Szumiały niebotycznemi wierzchołkami.

Naraz wielka, lecz sucha sosna stanęła w płomieniach...

Nie przerwało to walki, trwała dalej.

Trwała bezprzestannie.

Ludzie tak z jednej, jak z drugiej strony padali,—jęk rannych mieszał się z dzikim okrzykiem wroga, — z hukiem wystrzałów.

Wielka polana w lesie zasłana była broczącymi we krwi własnej nieszczęśliwymi.

Posuwano się pod wieś.

Tam, na większej przestrzeni, walka była jeszcze zaciętsza.

Słońce skryło się teraz zupełnie.

Mróz chwytał coraz silniejszy...

Wdali słychać było stukot ciężki, przygnębiający...

Nieprzyjaciel nadchodził w większej sile. Otaczał las.

Huk, sypiące się iskry dały znać o przybyłych.

Walka nie ustawała.

Borsuk padł, literalnie rozszarpany kulą... Donat ugodzony w pierś, broczył we krwi.

Bruzda miał nogę strzaskaną.

Wysiłki garstki naszych, ich bezustanne z broni ręcznej strzały nie mogły podołać wyćwiczonemu wojsku...

Szerokie pole zasłane było rannymi i trupami.

Kto mógł,—kto miał jeszcze siły z powstańców, uchodził, krył się po chatach, w rowach, zaroślach.

A nad tem wszystkiem świeciła zapalona iskrami wielka, stara sosna, obejmowana coraz większym płomieniem...

Świeciła, jako pochodnia...

IX.

Ksiądz Madura spełniał do ostatka swoją powinność.

Noc całą chodził po placu boju, opatrywał na ostatnią drogę umierających, zbierał rannych, ładował ich na wozy, które jak na zawołanie ze wsi kurpiowskiej przybyły.

Nie przeszkadzano mu w tej smutnej pracy.

Wojska rosyjskie, zabrawszy swoich rannych, pochwyciwszy kilkunastu uciekających powstańców, odeszły w stronę, z której przybyły.

Dowódcom pilno było zdać raport z odniesionego zwycięstwa.

Że zaś wśród wojska świeżo przybyłego z dalszych okolic było i wojsko ze znajomego nam już miasteczka z pułkownikiem swym na czele, a nawet jakaś część kozaków z kapitanem Biescowem i oni słusznie się mogli pochwalić, że przyczynili się do pokonania *buntowników*.

Jakim sposobem kozacy zdobyli liche konięta i jak tam walczyli zardzewiałą, połamaną bronią, o to ich się nikt nie pytał.

Nie było tylko wśród tych wojsk komendanta, który postanowił dalej jaknajusilniej spełniać swój obowiązek i prowadzić *brankę*.

Wiemy, że tych, których z takim trudem zagarnął, nie znalazł w rekruckiej sali.

Nie było nawet głupiego Jurka, tylko wyłom do kuchni naczelnika powiatu świadczył, że cała gorliwość komendanta Ilji Worowa nie przydała się na nic.

Zaświadczył też i naczelnik powiatu, siedzący przywiązany do fotela, o bytności zbrodniarzy...

Późno wieczorem pani naczelnikowa zaniepokojona nieobecnością małżonka, zajrzała do biura, a ujrzawszy związanego, narobiła hałasu i posłała po komendanta.

Ten stwierdził fakt pełen grozy, kazał odwiązać nieszczęśliwego,— wysłuchał jego opowiadania i wraz z nim zdał raport, nie zamilczając naturalnie o zabranej kasie.

Tak się zaś zawziął szanowny komendant na *buntowników*, że postanowił bądź co bądź ich wyłowić.

Padło też ofiarą kilku żydów z okolicy, którzy się jakoś uwolnili i kilku włościan, nie mających się za co uwolnić.

I oto, gdy cała starszyzna z miasteczka, nie wyłączając kapitana kozaków, dostała telegraficzną pochwałę i obietnicę odznaczenia za pokonanie oddziału *buntowników*, o komendancie zamilczano, jakby go nie było.

Wyrzucał też biedaczysko cały swój słownik dosadnych przekleństw, wołając:

— I służ tu wiernie, — nie śpij, nie jedz, a będziesz miał taką nagrodę!

A jednocześnie dotykał pustych kieszeni.

Powstanie wszakże nie upadało.

Rozrastało się, owszem, z każdą niemal godziną.

Zdawało się, że na miejsce zabitych i rannych wyrastają legiony, obejmując swoją dzielnością kraj cały.

W okolicy jednak, o której mowa, nie pojawiały się już nowe szeregi.

Stach, wylizawszy się z ran, ożenił się z Jewką Werczakówną; — pracował dalej w kuźni swego teścia, razem z Walentym, który chociaż mocno utykał na nogę, uniknął jakoś szczęśliwie wywiezienia na Sybir. Stary kowal wzdychał ciężko, nie tracił jednak nadziei, mówiąc:

— Pracujcie, chłopcy, — Bóg da, nasza praca jeszcze się przyda.

I chwytał za młot dla dania dobrego przykładu.

Niestety, przewidywania kowala nie sprawdziły się, jak tego pragnął.

Powstanie mimo chwilowego powodzenia, upadać poczęło.

Brakło ludzi,—pieniędzy,—broni,—amunicyi.

Wdzierała się zato niezgoda...

Aż po 18-miesięcznych nadludzkich wysiłkach upadło zupełnie.

Rząd rosyjski wyłowił wszystkich uczestników, należących do tej nadludzkiej walki...

Jednych skazano doraźnie na śmierć, innych wysyłano na Sybir.

W partyi, pędzonej w te odległe kraje, znalazło się dużo kobiet.

Były to po największej części żony lub narzeczone skazanych na wygnanie powstańców. Znalazły się wśród nich Marya i Anna, panny z białego dworu, połączone węzłem małżeńskim z narzeczonymi przez X. Madurę, gnanego wraz z innymi wgłąb Sybiru.

A drzewa w naszych lasach szumiały długo, długo.

Szumiały i dotąd szumią, opowiadając sobie o wszystkiem,—wszystkiem!..

IZA BRONIKOWSKA.

Sâdhâna

(Urzeczywistnienie życia).

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

Spostrzegłszy, wchodzących po schodkach Anię z Ken'em, Inga, Mieronicz i reszta towarzystwa, zaczęła im dawać od swego stolika żywe znaki zniecierpliwienia.— Ania roześmiała się.

— A któż nam dziś matkuje? Inga, czy malarz?

Mieronicz podskakuje nad ogromną porcyą seledynowych lodów.

— Ależ, gdzie tam! Miss Jennings, jak przedpotopowy Anioł Stróż, kołysze się równocześnie, na dwudziestu paru barge'ach. Opiekując się niby wszystkiemi, którzy nie wystarali się o stałego *chaprona* na tydzień ósemek, schodzi nawet, w miłosierdziu swoim, do puntów; była tu przed chwilą, ledwo żywa z gorąca — zapowiedziała, abyście się, niesforne cudzoziemki, nie ważyły zbliżać do Indusa i Egipcyan!—Nawet Czau dostał dziś urlop, zadużo dziś członków profesorskich rodzin kręci się wkoło — a już i tak gadają, że nasza nadobna Prudence sprzedaje swoje lokatorki do haremów.—Rahju, jakoś się nie pokazuje—ale pewien zakochany Egipcyanin krąży wkoło tej barge'y, jak duch Banka.

— Cicho, co pan dziś taki wymowny. Granatowe oczy błyszczą prawie gniewem.

— Mam specyalnie powierzone czuwać nad dobrem sprawowaniem panny Ani. Siada przy niej — i Ania, przekomarzając się wesoło, odzyskuje kryształową równowagę ducha.—Niemiłe wrażenie — czarny cień skrzydła jakiegoś złowieszczego ptaka przeszło—minęło zupełnie. Roztropnie odkłada na później analizowanie i rozpatrywanie rzeczy przeszłych — czuje je dokładnie i radośnie w sobie—i cieszy się myślą o pierwszej chwili samotności—teraz jednak nie może pozwolić, by cielista fularowa suknia i bajeczne oczy Astrid robiły tak wyłączną furorę na barge'y i zajmowały tak doszczętnie i widocznie—ładnego Anglika. Przypomina sobie, że Kenneth Lane—parę miesięcy temu w ten sam znaczący sposób wodził po niej rozkosznie szczeremi oczami i bohatersko postanawia odzyskać, wydrzeć swe utracone władztwo.

— Mam ci coś powiedzieć — Ken — Chodź tu.

Opiera się o barjerkę i, gryząc ciastko, obserwuje ruszające do startu łodzie.

Równo — lekko, ślizgając się niedbale po migotliwej, rozdyamentowanej w słońcu toni, ósemki defilują jedna za drugą przed barge'ami. W każdej, ośmiu prawie nagich, młodych atletów wioślarzy, zda się w jedno zrośniętych z długiemi, smukłemi wiosłami — i malutki cox *) strojny w barwy kolegjum. Tłum już entuzjastyczny, szemrze:

— O, o, o, Magdallen cox — czarny i biały!

— Malinowy i złoty, Baliol!

— Błękitny — Wadham.

Sternik Uniwersity College ma przy czarnym sweaterze ogromną więź żółtych złocieni. Oklaski.

Przepłynęły.

Koło barge'y punty studenckie, ciekawe, żądne widowiska, pełne kolorowych parasolek.—Stanęły zwartą szczelnie ławą, trąc o siebie bokami.

„Serum“...

— Ken — widzisz — przypięłam sobie malinową rozetkę na cześć twego College. — Podobam ci się tak, Ken?

Rozległ się wystrzał — wyruszyli z Ifley.

Tłum zakołysał się, parł niecierpliwie na balustrady dachów — rozgorączkowany i przycichły nagle. Wyciągnęły się ręce uzbrojone w aparaty fotograficzne, w lornetki:

— Patrz, jak Astrid grucha z malarzem! Dziwna — ja naprzykład nie mogłabym wprost wdzięczyć się tak do każdego. — A ty? Człowiek jest tem milszy, im częściej zdobywa się na antypatyę — prawda?

Płyną!

Z przeciwnej strony rzeki, po ścieżce Tow-Path zwanej, biegnie za pierwszą łodzią zbity, wrzeszczący tłum ludzi, studentów i publiczności.

Z piekielnym hałasem lecą jak wicher północy koledzy wioślarzy, trzęsąc grzechotkami, pukawkami, hukając z rewolwerów, wyjąc ochryple uproszczoną nazwę lub przezwisko kolegjum:

— Univ! Univ!

— House! House!

— New! Môdlen!

Podobno za ósemką Magdalen College pędzi wraz z kolegami mały, zdyszany książę Walji.

Przodem rwie trener, boss, grzmi zachęty przez ogromną tubę.

Tłum rozochoconych mieszczan drze się, wali naprzód, przewraca, tratuje, spycha ze stromego brzegu do rzeki.

Łodzie śmigają, jak jaskółki — lekko, wytwornie, bez wysiłku.

Z barge'y dostrzec można posiniałe, naciągnięte twarze wioślarzy.—Plecy gną się w kabłąk — muskuły omdlewających ramion pękają.

Co chwila gwałtowne wybuchy nowych okrzyków tryumfalnych, gdy która chyża ósemka ma wyminąć lub dotknięciem dzioba obezwładnić wypychającą się łódź.

Bump!

Jak deszcz radosny lecą na wioślarzy oklaski — kwiaty.

— Univ! Univ!

Malutki cox University College ochrypł, zsiniał od krzyku; zda się, że za chwilę wioślarzom wymówią posłuszeństwo dłonie — opadną.— Wiosła prują pierś rzeki z wysiłkiem — ustaną...

Zwyciężyli!

Trzy „bump'nięte“ łodzie, smutne i osowiałe zatrzymały się na środku rzeki; z dali nadpływają w słońcu inne ósemki mniej szybkie — oklaskiwane słabiej.

Zwycięscy wioślarze w oczach rozentuzjazmowanego tłumu zeskakują z łodzi do wody i wpław przybijają do swej barge'y.

Zwolna — łąkami i aleją publika rozchodzi się do domu. Rzeka cichnie i ciemnieje — zapada wieczór.

* * *

ZŁUDA.

Po starych murach pelznie bluszcz i krwawe wino,
Słońce się do zielonych trawników uśmiecha
Blado—sennie... wśród ciszy zda się jakieś echa
Snów rycerskich z krużganków, z tajnych celi
— — — płyną.
„Cicho!“, może na chwilę pracy swej poniecha
Mnich jaki i — znużony psałterzy łaciną
Z za kolumny wysunie dłoń drżącą i siną
Na słońce — — —; albo może braciszek ten —
klecha
— — —
Stanie na traw kobiercu i bezdźwięczne „Ave“
[Cały blaskiem objęty — jak słonecznik czarny —]
Będzie szeptał... wolniutko, lub, drżącemi usty
Liczył w szczelinach murów winne pędy rdzawe...
„Cicho!“ cały tłum mnichów przybliża się—gwarny
— Pod arkady śmiech buchnął — śmiech młody
i pusty!

— Aniczka, skądże masz takie cudne kwiaty? Co? nie zaczęłaś się nawet ubierać?

Astrid i Inga — z rakietami w rękach— w białych sportowych kostjumach oddają Ani ranną wizytkę.

Ania jeszcze w łóżku — od jakiegoś czasu wstaje późno, wylegując się z rozkoszą.

*) Sternik.

Dziś na kołdrze leży ogromny pęk różnokolorowych groszków.

Ania ma włosy zaplecione w dwa równe warkocze i związane przy skroniach na różowe kokardki; koło ust ma wyraźne ślady marmelady i żółtka. Przez cienki batyst koszuli rysują się wyraźnie drobne, okrągłe piersi i dziecinne ramionka.

— Zbliż-że się, grubasie, pomóż mi robić bukiety. Ta wiązanka pójdzie w wazon zielony — na biurko, ta na tualetę. Trzeba im trochę przyciąć ogonki.

Groszki blado-lila, jak dyskretna żałoba po minionej sympatyi; groszki tak ciemno-fioletowe, że prawie czarne; groszki błękitne, naiwne, jak barwa oczu dziecięcych i cichego szczęścia w ustroniu; wszystkie odcienie niewysłowionych pożądań w barwach amarantu i słodka niewinność groszków białych. — Mają skrzydełka nieprawdopodobnie delikatne i nikłe, a tak chwiejne, jak stado rozczarowanych, oszalałych w drgnieniach miłosnych, motylów.

Inga zachwyca się...

— Nie rób takich ciasnych pęczków, Aniu; nie umiesz układać poematów barw. Widzisz — są zupełnie niepodobne do roślin wogóle — to duszki kwiatów.

Dotyka się ich miłośnie, ostrożnie, tłustemi, jak różowe serdelki, palcami, o krótkich, popękanych paznogciach.

— Niebieski bukiet weź sobie, ten blado-lila dla Astrid — resztę poślijcie pannie Jennings do salonu.

D. c. n.

Kronika działalności kobiecej.

Wyborcze prawa kobiet.

Związek Równouprawnienia Kobiet Polskich zwrócił się ponownie do rady m. st. Warszawy z wezwaniem, aby poddano obecnie pod obrady plenum rady wnioski „przyznania kobietom równych z mężczyznami praw do rady miejskiej", dawno jej złożonych przez Związek R. K. P., dwudziestu kilku radnych i szereg stowarzyszeń kobiecych.

Na poparcie swoich wywodów Związek R. K. P. dołączył tekę z podpisami około 2.000 osób, solidaryzujących się z wnioskami.

Narodowy Związek Kobiet w Zakopanem.

W dniu 3 b. m. odbyło się w domu ludowym w Zakopanem wielkie zgromadzenie kobiet, zorganizowane przez wszystkie zrzeszenia i grupy kobiet w celu skonsolidowania wszystkich sił w dzisiejszej chwili i zaprotestowania przeciw wszelkim zakusom przemocy.

Na zebraniu przyjęto następującą rezolucyę: Zebrani w dniu 3 marca na zgromadzeniu Polek wszystkich stanów w Zakopanem w przekonaniu, że solidarność narodowa jest najwyższą siłą, o którą każda broń wroga wyszczerbić się musi, powierzają kobiecie polskiej, jako najważniejszy obowiązek, straż nad jednością w narodzie i wzywają wszystkie organizacye kobiece do pracy w tym kierunku, a wszystkie niezorganizowane kobiety do wstępowania w narodowe związki.

Przewaga urodzin żeńskich nad męskiemi.

Pod powyższym tytułem zamieszcza *Przegląd Poranny* z dnia 4 marca przedruk artykułu dr. M. Baertinga z wiedeńskiej „Gynekologische Rundschau", p. t. „Brak mężczyzn po wojnie". Oto wyjątki:

Problem, dotyczący przewagi ilościowej kobiet nad mężczyznami będzie jednym z najgorszych skutków wojny obecnej. Dziś wynaleziono środki przeciw-zakaźne, a równocześnie żniwo śmiertelne karabinów maszynowych, granatów, szrapneli, gazów duszących i kul dalekonośnych czyni żniwo śmierci, przeciw mężczyznom zwrócone, dziesięć i stokroć obfitszem.

Wszystko to przyczynia się stale do wzrostu liczby kobiet nad mężczyznami, a z tem do wszystkich następstw, jakie stąd wynikną i wyniknąć muszą.

Tembardziej — mniema dr. Baertling, — że źródła, skąd wypływa ta przewaga liczebna płci żeńskiej nad męską, nie wyschną wcale po skończeniu wojny. Nasuwają się bowiem dalsze zagadnienia podobnej treści. Czy nadwątlone zdrowie wielu z tych, którzy powrócą żywi do domów, pozwoli im na założenie ogniska domowego? Tem bardziej, że walka o byt cięższą będzie po wojnie, aniżeli przed wojną. A z ognisk domowych wyrasta przecie nowe pokolenie. Wprawdzie złe warunki odżywiania podczas wojny wpływają równocześnie na osłabienie organizmów żeńskich, ale — mniema doktór berliński — natura kobieca jest pod tym względem odporniejsza od męskiej. Więc powróci szybciej do stanu normalnego.

Ta przewaga płci żeńskiej liczebna i organiczna, połączona jest z niebezpieczeństwem dla rodzaju męskiego. Autor dowodzi tego za pomocą mnóstwa materyału statystycznego i biologicznego i dochodzi do wniosku, że przewaga ta utrzyma się na długi okres powojenny, a może na zawsze.

Dotyka też autor wielożeństwa, jako ostatecznego, rozpaczliwego środka przeciw wymarciu i osłabieniu ludzkości. Ale i ten heroiczny sposób wywiera skutek wprost przeciwny. Wielożeństwo bowiem, jak dowodzi statystyka urodzin w krajach, żyjących pod prawem polygamji, prowadzi znów do przewagi urodzin żeńskich nad męskiemi. W haremach władców wschodnich rodzi się 2 procent chłopców na 100 wypadków urodzin. Zatem projektowane wielożeństwo byłoby tylko nowym środkiem do utrwalenia liczebnej przewagi żeńskości nad męskością. I utrzymałoby się na całe pokolenia przyszłe.

Zatem kończy autor smutną konkluzyą:

Ród męski pozostaje pod groźbą przejścia na etat wymarcia.

TREŚĆ NUMERU:

OGŁOSZENIA.

Redaktorka i Wydawczyni: **Zofia Seidlerowa**. Druk J. Świętoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34.

Za pozwoleniem cenzury niemieckiej.

DO SZANOWNYCH CZYTELNICZEK.

Z powodu opóźnienia przesyłki klisz z zagranicy i zagubienia ich w drodze, tymczasem dołączamy dodatek bieżący — a stosownie do uczynionej już adnotacyi — zapewniamy Sz. Czytelniczki, — prosząc o łaskawe uwzględnienie, że zaległe dodatki z chwilą nadejścia nowego transportu klisz — dołączymy przy numerach następnych.

Uproszczenie i unarodowienie stroju.

VI.

Sprawą unarodowienia stroju zajęła się przed rokiem i pół blisko pewna grupa osób z p. Umińską na czele, która zorganizowała konkurs na ubrania o cechach narodowych polskich. Postawiono to zagadnienie przeważnie w przeświadczeniu, iż tradycye zdobnictwa ludowego z jednej strony, zaś zabytki historyczne—z drugiej, dokonają przewrotu. Podniety dodawały udatne próby modernizowania stroju, pomysłu p. Bohdana Nowakowskiego.



№ 1. **Kostyum wiosenny, ułożony w fałdy.** (Szk. 1). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Nie zastanawiano się głębiej nad tem, iż poruszona sprawa jest istotnie bardzo ważna, iż łączy się z całym szeregiem zagadnień społecznych, i — co najważniejsza — a co poniżej wyjaśnię szczegółowo, — poruszono ją raczej zapóźno, niż zawcześnie.

Odpowiedź ogółu artystów i fachowców na postawione pytania brzmiała dość słabo. Znalazło się przecież kilka ciekawych projektów, które mogły stać się podwaliną do rozpatrywania i właściwego zorganizowania pracy nad stworzeniem polskiego stroju narodowego. Szkoda jednak, iż inicyatorzy, po ogłoszeniu i wystawieniu okazów, zamilkli. I nie wiadomo, w jaki sposób zamierzają w dalszym ciągu pracować nad urzeczywistnieniem swej idei.

Za punkt wyjścia bierzemy warunki odbytego konkursu. Uważamy się za niekompetentnych do innego postawienia tej sprawy a priori.



№ 2. **Kostyum wiosenny, przybrany taśmą, dla młodej osoby.** (Szkic 2). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Zastanówmy się, jakie były cele inicyatorów. Chcieli oni stworzyć polską modę narodową, której cechy kroju byłyby zupełnie odrębne od dotychczas spotykanych, a których źródła czerpanoby w istniejących wzorach ludowych.

W ten sposób pojęty cel konkursu był oczywiście celem utopijnym. Przedewszystkiem nie można się łudzić, aby było możliwe zupełne wyzbycie się wpływów mody międzynarodowej. Gdyby nawet udało się krawcom polskim narzucić wzory unarodowione Paryżowi, utrzymałyby się one najwyżej przez jeden sezon. Zresztą moda przenika do Niemiec i do nas nawet dzisiaj poprzez kordony wojsk walczących. Gdyby nawet przez odcięcie od reszty świata udało się nam narzucić ogółowi kobiet polskich wzory zupełnie oryginalne, od paryskich niezależnione, po wojnie lub przez ograniczone choćby stosunki z innymi narodami praca nasza musiałaby pójść na marne, musianoby zdobyć się na o wiele większy wysiłek inwencyjny, aby osiągnąć wynik, zresztą bardzo problematyczny.



№ 3. **Kostyum wiosenny, przybrany taśmą, dla dziewczynki od 12—14 lat.** (Szk. 3). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

O utopijności postulatu odrębności kroju przekonali nas inicyatorzy z wyników konkursu. Istotnie wystarczy przyjrzeć się pracom, które otrzymały 1-szą i 2-gą nagrodę, aby zauważyć wyśmienitą szeroką, fałdowaną suknię fasonu r. 1916, modne kieszonki i t. p. Gdyby konkurs odbywał się np. w r. 1914—wyniki jego byłyby zupełnie inne. I skoro trzeba stwierdzić fakt ten przy ocenie prac, nadesłanych przez artystów malarzy, jakież dopiero wyniki dałyby w tym względzie prace zawodowych krawców i krawcowych?

Musimy zatem wyzbyć się fałszywej ambicyi posiadania własnego nawskroś odrębnego kroju polskiego i ograniczyć się do stworzenia typu ubrania, który w zgodzie z cechami kroju, narzucanemi przez modę międzynarodową, posiadałby szereg szczegółów, odpowiadających specyalnie polskiej charakterystyce, któreby pośrednio zbliżały modny strój mieszczki do stroju kobiety z ludu.

W ten sposób jedynie, po odrzuceniu kroju, rozumieć można drugi warunek konkursu, podany przez inicyatorów. Musi to być swojego rodzaju kompromis między wymogami mody ogólnej a strojem ludowym, ugoda, przy której ta pierwsza musi ustąpić w szczegółach, drugi zaś za-

chowując swój charakter i koloryt — musi odstąpić od swoistych zasad kroju i uledz pewnej modernizacyi.

Tylko w ten sposób, przez dopełnianie luk mody ogólnej, utrzymamy modę narodową na poziomie ogólnym, unikniemy w niej zasklepienia się na wzorach przestarzałych, oraz ustrzeżemy się chaosu, jaki mógłby się przejawiać w realizowaniu pomysłów fantastycznych, pochodzących od przypadkowego, mimo wszystko, zespołu artystów. Równie ważne i pilne jest trzymanie się drugiej wskazówki organizatorów konkursu, mianowicie silny kontakt z wzorami ludowymi.

Tak zresztą dzieje się i w innych krajach. Wszędzie spotkać się możemy z takiemi cechami mody, które właściwe są tylko dla danego kraju. A więc modnie ubierające się zeuropeizowane turczynki, noszą przecież charakterystyczne szale na głowie, których im moda ogólna wcale nie zalecała, pozatem, bez względu na modę również, noszą zawsze bardzo krótkie suknie, które odslaniają nóżki. Niemki nosiły zwykle, na kostyum nawet, obszerne płaszcze (mantle) od deszczu i kurzu, jakie przedostatnio przedostały się i do nas. O odrębnościach stroju angielek i amerykanek wiele możnaby mówić.



№ 5. **Spódnica z szelkami i bluzka przybrana haftem:** (Szk. 5). Forma na zamów w admin. Bluszczu.

Zrozumiałą więc będzie rzeczą, gdy i Polka, oprócz już i dziś istniejących różnic nieuchwytnych, zastąpi wszystko to, co w danym momencie okaże się przez modę niewyzyskane, przez rzeczy ustalone na podstawie wzorów ludowych czy historycznych oraz gdy cechować ją będzie w stosunku do zagranicy swoiste odsłonięcie nóżek poniżej modnej sukienki, niekiedy częściowe tylko, niekiedy zaś całkowite.

* * *

Wzory ludowe spotykamy obecnie już tylko u ludności wiejskiej, ludność miejska bowiem — z małymi wyjątkami — wyrzekła się już dawno stroju odrębnego i przyjęła, acz w spaczonej formie, strój ogólny.

Wiadomo powszechnie, że znaczna część ludności wiejskiej w czasie wojny wzbogaciła się. Jest więc do przewidzenia, iż w związku z podniesieniem dobrobytu z jednej strony, zaś oświaty — z drugiej, spotykamy się już dzisiaj z objawem podnoszenia się stopy życiowej u mniejszych ziemian i średnich chłopów. Muszą oni zastać nas przygotowanych, muszą znaleźć to, czego szukali, ale co będzie odpowiadało ich gustom i ich upodobaniom, inaczej bowiem pojedzie na wieś wszelkiego rodzaju i pochodzenia tandeta, która dla nowo wzbogaconych posiadać będzie już tylko cechę nowości.

Musimy koniecznie dążyć, wytworzyć, przyzwyczaić się i wychować ów traktowany dotychczas po macoszemu przemysł zdobnictwa ludowego, zanim przemiany, swoiste zawsze ludziom wzbogaconym, nie dotkną naszego kmiecia. Wtedy bowiem zaimponują mu bardziej wytwory przemysłu międzynarodowego i na naszą akcyę będzie zapóźno.

Liga U. i U. S.



Szk. 6. Szk. 7. Szk. 1.



№ 6. **Suknia z marszczoną bluzką, przybrana haftem.** (Szkic 6). Forma na zamów. w administr. Bluszczu.

№ 7. **Suknia w formie płaszczyka, przybrana stebnówką, dla młodej osoby.** (Szk. 7). Forma na zam. w adm. Bluszczu.



№ 4. **Kaftanik ranny (do czesania) łatwym, prostym krojem.** (Szkic 4). Forma na zam. w administr. Bluszczu.

Wzory Ubiorów i Robót do № 12.

№ 1. **Kostyum wiosenny ułożony w fałdy.** (Szkic 1). Forma na zamów. w administr. Bluszczu.

Ciemna wełna w dowolnym kolorze użyta jest na ręczny wiosenny kostyum z żakiecikiem z odciętą baskiną i spódnicą z trzech części. Spódnica i żakiet ułożone w fałdy. Żakiet wykończony na podszewce — z przodami wykończonemi po krawiecku, które mogą być rozchylone lub wysoko zapięte. Baskina przybrana po bokach lejkowatemi kieszeniami. Spódnica przyszyta do gorsecika — ozdobiona w górze paskiem z patkami.

Potrzeba: $4^1/_2$ metra mat. 120 cent. szer.

№ 2. **Kostyum wiosenny, przybrany taśmą, dla młodej osoby.** (Szkic 2). Forma na zamów. w admin. Bluszczu.

Czarna jedwabna taśma i stebnówka zdobią kostyum wiosenny z żakiecikiem luźnym krojem odpowiedni dla młodej osoby. Taśma wykończa brzeg szerokiego, wykładanego kołnierza, spódnicę poniżej kolan oraz mankiety. Guziki obciągnięte taśmą i dziurki obłożone materyałem dopełniają przybrania.

Potrzeba: 3 metry mat. 130 cent. szerok., $6^1/_2$ metra taśmy 6 cent. szer.

№ 3. **Kostyum wiosenny przybrany taśmą dla dziewczynki od 12—14 lat.** (Szkic 3). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Ładny kostyum dla dziewczynki sporządzony jest z granatowej wełnianej materyi i przybrany wązką czarną, jedwabną taśmą, naszytą po bokach spódnicy i żakiecika. Boki spódnicy i żakiecika ułożone w fałdy zwrócone ku sobie. Kołnierz i mankieciki obłożone jedwabną materyą. Zapięcie na 2 rogowe guziki.

Potrzeba: $2^1/_4$ metra mat. 100 cent. szer., $4^3/_4$ metra taśmy 2 cent. szer.

№ 4. **Kaftanik ranny (do czesania) łatwym prostym krojem.** (Szkic 4) Forma na zam. w administr. Bluszczu.

Matinkę oryginalnym a łatwym krojem sporządzić można z jedwabnej lub wełnianej wzorzystej, barwnej materyi. Brzegi wykończone podwójną mereszką. W stanie matinka podszyta ukośnemi plisami z materyi, przez które przewleczona jest różowa wstążka. Takaż wstążka zdobi wycięcie szyi.

Potrzeba: $2^1/_2$ metra mat. 60 cent. szer., 3.10 metra wstążki $1^1/_2$ cent. szer.



№ 8. **Sukienka w formie bluzy, przybrana dzierganiem, dla dziewczynki od 6—9 lat.** (Szk. 8). Forma na zam. w administr. Bluszczu.

№5. **Spódnica z szelkami i bluzka przybrana haftem.** (Szk. 5). Forma na zamów. w administracyi Bluszczu.

Doskonale obmyślone ubranie składa się z bluzki z baskiną i spódnicy z szelkami, tworzącemi na przodzie i na plecach rodzaj staniczka. Bluzka z woalu, crêpe de chin'u, lub innego lżejszego materyału, przybrana pięknym haftem, na letnie dni może być sporządzona z materyału lekkiego do prania. Do boków baskiny dobrze jest przyszyć ciężarki. Spódnicę najlepiej wykonać bez zapięcia, wkładaną przez głowę. Brzegi wycięcia i szelek wykończa jedwabna lub półjedwabna czarna tasiemka, bez względu na kolor sukni. Taż sama tasiemeczka naszyta jest na pasku.

Potrzeba na bluzkę: 2 metry 10 cent. materyału podw. szer. — na spódnicę: 3 metry materyału podw. szerokości.

№ 6. **Suknia z marszczoną bluzką, przybrana haftem.** (Szkic 6). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Haft sznelą i jedwabiami w jasnych barwach ożywia suknię z szaro-niebieskawego, wełnianego materyału. Marszczona, niezbyt szeroka spódnica łączy się z marszoną z tyłu zapiętą bluzką. Szeroki pasek z boku pod spuszczonym końcem zapięty zdobi z przodu haft w rodzaju klamry. Takiż sam motyw haftu powtórzony jest z tyłu. Marszczona tiulowa koszulka z główką zmniejsza wycięcie otoczone pliską w kształcie kołnierzyka, przybraną haftowanemi grochami. — Dwa końce zwieszające się na bokach z ponad paska przybierają haftowane motywy. Rękaw koszulowy, szeroki, marszczony trzykrotnie, obciśnięty pliską z materyału zakończa falbanka.

Potrzeba: $4^{3}/_{4}$ metra materyału podw. szerokości, $^{1}/_{4}$ metra tiulu tejże szer.



№ 11. **Sukienka w formie bluzy, przybrana jedwabną materyą, dla dziewczynki od 9—13 lat.** (Szkic 11). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

№ 7. **Suknia w formie płaszczyka, przybrana stebnówką, dla młodej osoby.** (Szk. 7). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Suknię tę można krajać bez odcięcia stanu, lub dla oszczędności materyału spódnicę osobno, górę osobno, ponieważ połączenie pokrywa pasek. Przód i plecy ułożone są w dwa szeregi płaskich fałd, nieprzerwanie idących od góry do dołu. Przybranie stanowi wydatna stebnówka grubym jedwabiem, który może być dobrany w odrębnym od materyału kolorze. Stebnówka otacza zapięcie z przodu, kieszenie i dół rękawów. Duży kołnierz z białego linon lub crêpe de Chine'u, harmonijną tworzy całość z białym skórzanym paskiem w stanie i paskami obejmującemi rękawy.

Potrzeba: $4^{3}/_{4}$ metra materyału 120 ctm. szer., $^{1}/_{2}$ metra materyału na kołnierz, 4 tuziny guzików.

№ 8. **Sukienka w formie bluzy, przybrana dzierganiem, dla dziewczynki od 6—9 lat.** (Szkic 8). Forma na zamówienie w administr. Bluszczu.



№ 9. **Sukienka z materyału w kratę z aksamitnym, haftowanym kołnierzem, dla dziewczynki od 8—12 lat.** (Szk. 9). Forma na zam. w admin. Bluszczu.

Skromna i bardzo zręczna sukienka z wełnianego materyału może być złożona z kilku kawałków. Przydłużenie spódniczki pokrywa pliska z jednej strony dziergana. Dzierganie zdobi też pasek i mankietki przy rękawach. Połączenie bluzki na podszewce ze spódnicą przyszytą do tejże podszewki pokrywa miękki, dosyć szeroki pasek. Zapięcie z przodu na drobne guziczki. Duży kołnierz biały z materyału do prania łączy się z wyłogami, do których przypięty jest na guziczki.

Potrzeba: $2^{1}/_{2}$ metra materyału podwójnej szerokości, $^{1}/_{4}$ metra materyału białego na kołnierz.

№ 9. **Sukienka z materyału w kratę z aksamitnym, haftowanym kołnierzem, dla dziewczynki od 8—12 lat.** (Szkic 9). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Całą ozdobę zręcznej i bardzo skromnej sukienki z materyału w kratę, zapiętej z tyłu, jest czarny aksamitny kołnierz, zahaftowany kolorowemi jedwabiami. Gładka spódniczka, połączona z bluzką, zapiętą z tyłu, przyszyta do staniczka. Pasek czarny aksamitny, rękawki niezbyt długie, zakończone mankiecikiem. Kołnierz spina mała, aksamitna kokardka.

Potrzeba: $2^{1}/_{4}$ metra mat. podw. szer.



№ 10. **Sukienka z kaftanikiem dla dziecka od 3—5 lat.** (Szk. 10). Forma na zam. w admin. Bluszczu.

№ 10. **Sukienka z kaftanikiem dla dziecka od 3—5 lat.** (Szkic 10). Forma na zam w administracyi Bluszczu.

Sukienkę powyższą sporządzić można z dwóch materyałów. Luźna, prosta sukienka, składająca się z kilku brytów, połączenie których przykrywa naszycie z tasiemeczki lub sutaszu, przyszyta do krótkiego staniczka z perkalu. Górę stanowi krótki kaftaniczek z odmiennego materyału np. z welwetu. Kaftanik oszyty pliską z materyału, pokrytą wyszyciem odpowiednim do tego, jakie pokrywa zeszycie brytów. Rękawki też zakończone odpowiednio.

№ 11. **Sukienka w formie bluzy przybrana jedwabną materyą, dla dziewczynki od 9—13 lat.** (Szkic 11). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Sukienka wełniana w ciemno-ponsowym kolorze, lekko przemarszczona w stanie zapięta z tyłu, stanowi jednolitą całość, lecz może być także złożona z osobnej bluzki i spódniczki, połączenie których pokrywa podwójny pasek z wiązany na wązkie końce z podwójnej czarnej materyi. Mankieciki przy rękawach i kołnierz również z czarnej materyi są przybraniem sukienki. Kołnierz zdobią haftowane motywy.

Potrzeba: 3.15 metra matra mat. podw. szer., $^{3}/_{4}$ metra czarnej materyi jedwabnej.



Szk. 5. Szk. 12 Szk. 4. Szk. 2.



Szk. 8. Szk. 9. Szk. 3. Szk. 11. Szk. 10.

№ 12. **Bluzka z baskiną z materyału w kratę i gładka spódniczka.** (Szkic 12). Forma na zamówienie w administr. Bluszczu.

Bardzo ładne ubranie dla młodej panienki stanowi gładka spódniczka czarna lub ciemnogranatowa i bluzka z materyału w kratę. Bluzka z długą baskiną, przepięta skórzanym wązkim paskiem, ożywiona białym batystowym kołnierzykiem. Welwet w kratę jest bardzo odpowiednim materyałem na taką bluzkę.

Potrzeba: na bluzkę $3^{1}/_{2}$ metra mat. poj. szer.

№ 13—14—15. **Nocna koszula, staniczek i falbana do spódnicy, przybrane haftem Richelieu i przewleczoną wstążką.** Formy i wzory na zamówienie w adm. Bluszczu.

№ 16. **Owalna serwetka zdobna haftem Richelieu (motyw z róż).** Wzór na zamówienie w adm. Bluszczu.

№ 17—18. **Małe owalne serwetki zdobne haftem Richelieu (motyw z róż).** Wzory na zamówienie w adm. Bluszczu.

№ 19. **Strojna serweta zdobna haftem Richelieu.** (Wielkość: 80 cent. długa, 55 cent. szer.). Wzór na zam. w administracyi Bluszczu.

PRZEPISY KUCHENNE.

Mazurki wojenne.

Mazurek z marmeladą owocową.

Masła świeżego ćwierć funta, cukru pół funta, dwa żółtka, śmietanki słodkiej poprzednio przegotowanej lub kwaśnej świeżej śmietany (w braku tychże, w ostateczności, można wziąć i słodkiego mleka, poprzednio przegotowanego) pół szklanki i mąki tyle, ile się wgniecie — wyrobić, wygnieść dobrze, a potem rozwałkować cienko na stolnicy, dzieląc ciasto na dwa placki zupełnie równej wielkości.

Placki te rozłożyć na białej blasze, wysmarowa-



№ 12. **Bluzka z baskiną z materyału w kratę i gładka spódniczka.** (Szkic 12). Forma na zam. w administr. Bluszczu.

nej masłem, lub w braku tegoż, białym woskiem, albo też suto posypanej mąką — poczem wstawić do gorącego pieca i upiec na rumiano.

Gdy placki ostygną, zdjąć zimne już z blachy i położyć je na deseczkę. Pozostałe białka od ciasta ubić na sztywną pianę, poczem położyć na jednym placku równo, gładko, oraz posypać po wierzchu grubym kryształem i natychmiast wstawić do dość gorącego pieca, ażeby piana obsuszyła się dobrze (to wszystko należy wykonywać szybko, ażeby piana nie opadła).

Obecnie w handlu znajduje się dużo marmelady z rozmaitych owoców — otóż taką marmeladę osłodzić miałkim cukrem podług smaku i rozsmarować na jednym placku, a drugim z ususzoną już poprzednio pianą, przykryć; grubość nałożenia marmelady zależną jest od gustu.

Zamiast piany, można mazurek na wierzchu ulukrować dowolnie wybranym lukrem; najtańszy i najmniej ambarasowny jest jednak lukier wodnisty.

Lukier wodnisty. Miałki, osiany cukier zmoczyć wodą i ucierać go całą godzinę; po ulukrowaniu, wstawić mazurek na kilka minut do letniego pieca dla połysku.

Placek kruchy doskonały (nie wojenny). Masła topionego szklankę, żółtek szklankę, cukru miałkiego szklankę, śmietanki słodkiej szklankę (w braku śmietanki można wziąć i słodkiego, przegotowanego poprzednio mleka), 4 łuty świeżych drożdży i mąki tyle, aby ciasto było wolne.

Wyrobić to wszystko razem doskonale — poczem okryć bardzo starannie wokoło specyalnie do tego przeznaczoną pierzynką i postawiwszy w ciepłem miejscu, zostawić w spokoju.

Gdy się ciasto ruszy — nakładać je dość cienko na białe blachy, wysmarowane masłem, poczem na wierzchu wygładzić i posmarować łyżką srebrną, umaczaną w rozbitem całem jajku lub też w samem białku — następnie posypać obficie miałkim cukrem razem ze sproszkowaną i osianą wanilią oraz migdałami; obranymi i pokrajanymi grubo wzdłuż.

Po ukończeniu tej czynności postawić placki w ciepłem miejscu, ażeby trochę podrosły — co, gdy nastąpi, wsadzić je do pieca dość gorącego.

Kiedy placki są już trochę podpieczone — należy dopilnować i gdzie się ciasto miejscami gdzie niegdzie wezdmie, wówczas trzeba tam poprzekłówać delikatnie i ostrożnie cienkim widelcem, ażeby się całe wyrównało.

Wyborny placek.

Mazurek „Piast“. Kruche ciasto wykonać w następujący sposób: mąki pół kwarty, masła świeżego, niesolonego ćwierć funta, jedno żółtko i sporo wanilii sproszkowanej i osianej — wyrobić dobrze i rozwałkować cienko; zrobić z tego dwa placki i położywszy na białą blachę, wysmarowaną świeżem, niesolonem masłem, upiec w miernie gorącym piecu na rumiano.

Gdy będą już zimne—położyć je na deseczce. Miodu jaknajbielszego jeden funt, miałkiego cukru jeden funt, zagotować na wolnym ogniu razem— poczem, mając ubitą z 15 białek tęgą pianę, postawić ją na małym ogniu i lać w nią potrosze gorący cukier z miodem — bezustannie mocno mieszając dużą drewnianą łyżką (najlepiej to robić we dwie osoby).

Mieszać tak długo, aż masa zgęstnieje zupełnie i zmniejszy się do połowy — co, gdy nastąpi, wsypać jeden funt orzechów tureckich lub naszych laskowych, nie obieranych z ciemnej skórki, poprzekrawanych na cztery części, sporo wanilii sproszkowanej i osianej, wcisnąć dużo soku z cytryny i wymieszać wszystko razem dobrze.

Zdjąć zaraz z ognia i nakładać mniej więcej na palec grubości na poprzednio już upieczone i wystudzone kruche ciasto (umieszczone po upieczeniu na deseczce) i wyrównać.

Miodową tę masę przykryć drugiem takimże ciastem.

Następnie to ciasto posmarować tym samym miodem cienko, lecz bez orzechów — a natomiast na wierzchu posypać jaknajsuciej siekanymi dość grubo orzechami i miałkim cukrem z wanilią i rozprysnąć po całym mazurku trochę soku z cytryny.

Trzymać stale w suchem miejscu.

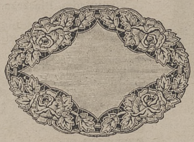
Krająć — nóż maczać ciągle w zimnej wodzie.

Babka bez drożdży. Masła świeżego ćwierć funta utrzeć wałkiem w donicy na śmietanę, dodając po jednemu cztery żółtka; poczem dodać do tego funt mąki, kwaterkę słodkiego, przegotowanego, zimnego mleka, ćwierć funta cukru, łut migdałów słodkich a pół funta gorzkich, obranych oraz drobniutko usiekanych i skórki cytrynowej obtartej ze świeżej cytryny.



№ 13—14—15. **Nocna koszula, staniczek i falbana do spódnicy, przybrane haftem Richelieu i przewleczoną wstążką.** Formy i wzory na zam. w adm. Bluszczu.

To wszystko wymieszać dobrze i wybić doskonale — w końcu dodać sztywno ubitą pianę z owych pozostałych czterech białek.



№ 16. **Owalna serwetka zdobna haftem Richelieu (motyw z róż).** Wzór na zamów. w administr. Bluszczu.

A na ostatku sypać potrosze: trzy łyżeczki kremotartary i jedną łyżeczkę sody, utłuczone jednocześnie razem w moździerzu, ale tak dokładnie, ażeby grudek nie było.





№ 17—18. **Małe owalne serwetki zdobne haftem Richelieu (motyw z róż).** Wzory na zamów. w adm. Bluszczu.

Rozmieszać ciasto ostrożnie (a nie rozbijać) i zaraz kłaść do formy, wysmarowanej należycie masłem i wstawić do gorącego pieca na godzinę.



№ 19. **Strojna serweta zdobna haftem Richelieu.** (Wielkość: 80 cent. długa, 55 cent. szer.). Wzór na zam. w adm. Bluszczu.

Babka na sodzie. Masła świeżego ćwierć funta utrzeć wałkiem w donicy na śmietanę, a raczej na zupełną pianę, następnie do tego dodać: mleka słodkiego przegotowanego, zimnego dwie filiżanki, mąki dwie filiżanki, cukru dwie filiżanki, żółtek pięć ubitych do białości z miałkim cukrem, licząc dwie łyżeczki cukru na jedno żółtko, mąki kartoflanej dwie łyżki stołowe, gorzkich migdałów kilka dużych lub kilkanaście małych, sparzonych, obranych i usiekanych drobniutko, musującego proszku za 10 fenigów (cena przedwojenna). Utrzeć to wszystko razem w donicy doskonale, najmniej pół godziny, aż do pulchności i wsypać proszek po ubiciu ciasta. W końcu dodać sztywno ubitą pianę z pozostałych pięciu białek, wymieszać ostrożnie z ciastem i włożyć je natychmiast na formę, wysmarowaną suto masłem — poczem wstawić do gorącego pieca na godzinę.

Mazurek ze serem. Masła świeżego niesolonego pół funta, mąki trzy ćwierci funta, dwa żółtka, dwie łyżki słodkiej śmietanki, ćwierć funta cukru, skórki cytrynowej obtartej ze świeżej cytryny, muszkatułowego kwiatu — wszystko razem dokładnie wymieszać i doskonale wyrobić.

Następnie, wyrobiwszy dobrze, rozwałkować na stolnicy na dosyć cienką warstwę, poczem to ciasto rozłożyć na białej blasze, wysmarowanej masłem.

Na to ciasto kłaść masę ze sera, zrobioną w następujący sposób:

Wziąć funt sera niezbyt świeżego i niebardzo suchego oraz nie słonego, utrzeć na tarce, potem przesiać przez sito i dodać doń: funt miałkiego cukru, 15 żółtek ubitych doskonale do białości z tymże cukrem i kieliszek dobrego araku. Wymieszać to wszystko razem, poczem nałożyć grubo na ciasto, wygładzić równo, ładnie na wierzchu i posypać obficie cukrem z wanilią.

Wstawić w gorący piec — a natychmiast po wyjęciu z pieca, ciepły jeszcze mazurek ulukrować białym lukrem.

Lukier biały pomadkowy. Cukru jeden funt nalać wodą różaną—taką ilością, ile wsiąknie w siebie — poczem gotować na syrop, tak gęsty, iż umoczywszy w nim widelec, spadać będą nitki, a nie krople i wówczas zdjąć z ognia i przelawszy syrop do donicy, trzeć go ciągle w jedną stronę, tak długo, dopóki nie zbieleje i nie zrobi się jednakowa, równa masa, gęstości podobnej do pomady. Podczas gotowania syropu wlać weń jedną łyżkę octu.

Po skończonem utarciu masy, można do niej wlać dla zapachu: trochę araku (w dobrym gatunku) lub nieco likieru maraskinowego albo waniliowego, albo też wcisnąć soku ze świeżej cytryny lub pomarańczy i znów dobrze z tem rozmieszać. *H. Ch.*

Kiełbasę świeżą, jak również i schab i żeberka wieprzowe — przed smażeniem koniecznie należy sparzyć wrzącą wodą i potrzymać w niej najmniej kwadrans; albo też obgotować przez kilka minut w tejże wodzie, wstawiając na ogień.

Po wyjęciu z wody trochę wystudzić i dopiero wówczas włożyć w rozpuszczony gorący tłuszcz do smażenia.

Takie sparzenie wodą zapobiega, ażeby mięso nie wysuszyło się zbytecznie i nie stwardniało podczas smażenia w tłuszczu.

ODPOWIEDZI Z DZIEDZINY LECZNICZEJ KOSMETYKI.

Pani M. Droh. Odpowiedź p. Zosi z № 11 może Sz. Pani zastosować i dla siebie również. Jeśli Pani oprócz wągrów na tle tłustej skóry ma również i krosty — jest to zapalenie gruczołów łojowych. Kuracyę trzeba ściśle przeprowadzić, używać w zeszłym num. „Bluszczu“ wskazanych lekarstw, pilnować żołądka, aby był w porządku i poddać się kuracyi na trądzik (acue), gdyż zapewne go Pani ma, sądząc z opisu. Nie wiem nawet skąd list Sz. Pani przyszedł, gdyż prócz daty niema żadnych wskazówek skąd Sz. Pani pisze. Co się zaś tyczy wynagrodzenia, nic za poradę w „Bluszczu nie pobieram.

Dr-owa J. Sadowska.